Nr. 6. Kraków, w czerwcu 1903 r. Rok IV.



Pismo dla kobiet
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Jubileusz Żółkwi.

Dnia 23 maja b. r. odbyła się wielka i wspaniała narodowa uroczystość 300-letniego jubileuszu założenia miasta Żółkwi.

Na północno-wschód ode Lwowa, wśród bogatych, miodopłynnych niw Rusi Czerwonej, wówczas ściśle braterskimi węzłami miłości z Polską rzeczpospolitą związanej, wzniesiono dokoła sadyby szlacheckiej rodziny Żółkiewskich, w roku 1603 pierwsze budynki grodu, który też od nazwiska swych założycieli Żółkwią nazwanym został. Tam to, w zamku rycerskim dzielnych przodków, żył jeden z najsławniejszych naszych bohaterów: Stanisław Żółkiewski, wiekopomnej pamięci hetman z pod Cecory, który nie mogąc sprostać sile Turków, w ziemie Polski zapuszczających swe niszczące zagony, śmierć na polu bitwy ochotnie za wiarę i Ojczyznę poniósł. Zwłoki tego dzielnego rycerza, a ofiarnego syna Polski, wykupiła rodzina z rąk zwycięzkich Turków i w kościele żółkiewskim złożyła. Potem przez córkę hetmana Zofię, żonę Jana Daniłowicza, wojewody ruskiego, przeszła Żółkiew w posiadanie rodziny Daniłowiczów, którzy dokończyli obwarowania miasta i zamku. Córka Jana i Zofii Daniłowiczów Teofila, wyszła za Jakóba Sobieskiego, kasztelana, i została matką nieśmiertelnego, a uwielbianego Jana Sobieskiego, hetmana, a późniejszego króla polskiego. Kochał też Jan III. to gniazdo rodzinne, Żółkiew, gdzie na świat przyszedł i gdzie się wychował, to też, zostawszy monarchą, rozszerzył i upięszył miasto, a zwłaszcza zamek i kościół, i często tutaj przebywał. Wróciwszy z chlubnej i zwycięskiej wyprawy wiedeńskiej, zatrzymał się jakiś czas w Żółkwi, gdzie z rąk posła papieskiego otrzymał poświęcony miecz i kapelusz, przysłany przez Innocentego XI.

Po śmierci króla tego, syn jego najmłodszy, Konstanty, władał tem miastem, po nim panem Żółkwi został Jakób Sobieski, a w roku 1740 córka jego, Marya Karolina sprzedała wszystkie swe dobra, a więc i Żółkiew, rodzinie książąt Radziwiłłów. Od roku 1787, upada miasta tego świetność i zamożność.

Dziś wspaniały niegdyś zamek wygląda jak ruina. Tylko część jego jest zamieszkałą, reszta stoi opustoszona. Mimo to czczą i szanują ten zabytek lepszej naszej przeszłości,

a pamiątkę powstania miasta obecnie po 300 latach, jak mogliśmy najwspanialej święciliśmy.

Więc na uroczystość zjechało się około 15 tysięcy ludzi, a samych włościan kilka tysięcy, głównie z okolic wchodniej Galicyi.

Obchód jubileuszu rozpoczął się mszą św. w kościele farnym, w czasie której śpiewał chór akademicki ze Lwowa. Nabożeństwo odprawił ks. Arcybiskup Bilczewski w otoczeniu licznego duchowieństwa; mszę polową zaś dla licznie zgromadzonego na rynku ludu, odprawił we wzniesionym na ten cel namiocie przeor OO. Dominikanów. ks Zaczek. Kazanie w czasie mszy św. wypowiedział w kościele ks. Arcybiskup Teodorowicz, na rynku zaś z trybuny ks. prałat Gromnicki z Buczacza.

Po nabożeństwie przybyły na uroczystość lud, ruszył pochodem przez ulice miasta pod pomnik Żółkiewskiego, który teraz postawiono. Pochód otwierała kapela narodowa; dalej szli długim szeregiem „Sokoli“ w mundurach, 3.600 włościan z gmin powiatu żółkiewskiego, 700 z pow. kamienieckiego, 180 z pow. rawskiego, 900 z pow. sokalskiego. Wszyscy nieśli wieńce. Szli dalej robotnicy z wieńcami, cechy i korporacye ze Lwowa ze sztandarami i wieńcami, cechy żółkiewskie ze starodawnymi sztandarami, zbory izraelickie, uczniowie szkół, Towarzystwo Kilińskiego, deputacya Tow. weteranów z roku 1863, Tow. „Szkoły ludowej“, deputacye Tow. Oświaty Ludowej itp. Pochód zamykała muzyka ochotnicza straży ogniowej z oddziałem straży.

Przed odsłoniętym pomnikiem Żółkiewskiego przemówił wiceprezes komitetu, oddając pomnik w opiekę miasta. Pochód ruszył ulicami miasta, przepełnionemi publicznością, przed drugi pomnik, króla Jana Sobieskiego. Przemawiał wiceprezes komitetu, zakończył zaś uroczystość dyrektor szkoły ludowej Ligięza, kreśląc zasługi Sobieskiego i Żółkiewskiego.

W czasie mszy św. i odsłonięcia pomników oddano kilkanaście strzałów moździeżowych. Uroczystość zakończyła się o godzinie 3 popołudniu, poczem odbyło się śniadanie dla deputacyj w gmachu „Sokoła“, dla włościan zaś w dziedzińcu zamkowym.

* * *

O godzinie 4 popołudniu rozpoczął się na dziedzińcu zamkowym wiec ludowy. Wybrano przewodniczącym posła Dra Tarnawskiego z Przemyśla. Z kolei przemawiali Dr. Aleksander Czołowski ze Lwowa na temat „Polacy na Rusi“, poseł Bojko „O oświacie, gospodarstwie i oszczędności“, p. Wojnar „O miłości Ojczyzny“. Dr. Kozłowski w dłuższem przemówieniu wyjaśnił znaczenie uroczystości w Żółkwi, włościanin Jan Duczyński z Woli Wysockiej odczytał szereg rezolucyj o utrzymaniu poczucia i ducha narodowego wśród włościan, zamieszkałych na Rusi. Rezolucye te przyjęto oklaskami, poczem p. Cieński podziękował w serdecznych słowach za urządzenie całej uroczystości.

Wieczorem odegrano „Kościuszkę pod Racławicami“. Na przedstawienie to, urządzone dla włościan, przybyło około 2.000 osób.

Stanisław Żółkiewski.

Dawno temu, tak dawno, że w dalekich onych czasach ciemne puszcze szumiały w wielu miejscowościach, gdzie bieleją dziś wioski i miasta, żył wojownik wielkiej mocy i sławy, imieniem Stanisław Żółkiewski.

I jak rycerz z bajki broni królewnej od potworów i wielkoludów, tak on bronił drogiej Ojczyzny, jej wolności i oświaty, staczając zwycięskie boje z Niemcami, Moskalami, Szwedami, Wołochami, przedewszystkiem zaś z dziczą tatarską i turecką.

Groźną była w onych czasach potęga Turków, którzy zdobyli Konstantynopol, a ogarnąwszy Tatarów zamieszkujących półwysep Krymski, podbili Multany i Siedmiogród, zagarnęli większą część Węgier, a na resztę tego kraju nałożyli wysoki haracz.

Groźną więc była Turcya dla całej Europy, a cóż dopiero dla Polski, najbliższej sąsiadki, która zasłaniała inne ludy przed dziczą pogańską, jak puklerz osłania przed grotem pierś rycerza. Ukraina, Podole, oraz rodzinne strony Żółkiewskiego, żyzne i bogate ziemie czerwonoruskie, których stolicą jest Lwów, nie znały przed nimi spokoju. Co roku rozpuszczały tam hordy tatarskie swoje zagony, siejąc śmierć i spustoszenie, zabierając jeńce i łupy.

Znakomitą szkołą rycerską dla Żółkiewskiego były wojny, jakie za czasów jego

młodości prowadził Stefan Batory, a zwłaszcza wyprawy tego sławnego króla na Moskwę.

Blaski tej sławy opromieniają i młodą jeszcze naówczas, a już znakomitą postać Żółkiewskiego. Bił się on mężnie pod Połockiem i Wielkiemi Łukami, a pod Pskowem dowodził jazdą i był prawą ręką swego wuja, hetmana wielkiego koronnego, Jana Zamojskiego, który się nim wyręczał w najważniejszych sprawach.

Po śmierci Batorego, dobijał się o tron polski Maksymilian, brat cesarza niemieckiego, że go jednak Polacy nie chcieli, więc obrali Zygmunta Wazę, a Niemca tego Zamojski pod Byczyną pobił i do zrzeczenia się pretensyi do korony zmusił.

Bitwa pod Byczyną, w której Żółkiewski wielkie dał dowody męstwa i znajomości sztuki rycerskiej, uczyniła imię jego znanem i drogiem, a król Zygmunt w uznaniu położonych dla kraju zasług, zamianował go młodszym, czyli polnym hetmanem. Piastował więc odtąd Żółkiewski najwyższą po Janie Zamojskim godność wojskową, a cieszył się nią nie przez próżność, lecz dlatego jedynie, że im większą posiadał władzę, tem lepiej mógł Ojczyźnie służyć, tem skuteczniej bronić jej granic.

Obrona owych granic z południa i wschodu przed Tatarami była teraz głównym jego obowiązkiem. Zliczyć niepodobna, ile to bitew stoczył on z pogaństwem, które nachodziło za jego pamięci 30 razy Polskę tak zwaną „wielką siłą“, to jest wielkiem wojskiem, nie mówiąc już o zagonach pomniejszych. Walka z wrogiem zdradzieckim, dzikim a podstępnym i niesłychanie zwinnym w obrotach, wymagała wielkiej czujności, męstwa i nieznużonej energii. Posiadał te przymioty Żółkiewski, gotów zawsze mienie i życie nieść Polsce w ofierze.

Nie żal mu też było kosztów na wzniesienie — ku obronie kraju — warownego zamku i miasteczka w ulubionej wiosce swej, położonej o cztery mile na północ od Lwowa.

Kiedy burza wojenna unosiła hetmana hen, daleko na pola bitew i sławy, czuwała w jego zastępstwie nad postępem robót żona, Regina Żółkiewska, niewiasta niepospolitych cnót, wielkiego serca i rozumu. I stanął wkrótce nietylko warowny zamek, o który rozbijać się miały hordy tatarskie, ale i okazały dom boży i przytulisko dla ubogich i szkoła dla dzieci. A dokoła, w obrębie murów obronnych, wałem i fosą otoczonych, rozsiadły się schludne domki miasteczka, od imienia szlachetnego założyciela Żółkwią nazwanego.

W rzadkich chwilach, kiedy Ojczyzna nie potrzebowała jego obecności w obozie lub sejmie, przebywał i hetman na Żółkiewskim zamku, a wówczas nacieszyć się nie mógł drogą rodziną — zwłaszcza dziatkami, których miał troje. Najstarsza, śliczna Zosia, poważną była i śmiałą, jak przystało córce polskiego rycerza. Żywy, jak iskra, Jaś i najmłodsza Kasieńka

Nie często jednak, mógł przebywać w kółku drogiej swej rodziny hetman, który 44 obozów wysłużył w ciągu swego życia. W wolnych od tatarskich napadów chwilach, trzeba było bronić Ojczyzny przed innymi wrogami.

Wśród tych działań wojennych nastał rok 1610, rok ponownej wojny z Moskwą. Żółkiewski, wytrawny wódz, rozumiał dobrze, jak należało tę wojną prowadzić, aby wroga najłatwiej pokonać, doradzał też królowi uderzyć z całą siłą polskiego i litewskiego wojska na stolicę, na Moskwę, która wskutek wewnętrznej niezgody, nie potrafiłaby się długo opierać. Ale król Zygmunt chciał koniecznie wpierw zdobyć po drodze fortecę Smoleńsk. I obstawał przy swoim zamiarze tem zapalczywej, że to miasto należało dawniej do Polski i wydarte jej zostało przez Moskali.

Kiedy więc król oblegał nader trudną do zdobycia twierdzę, Żółkiewski ruszył naprzód z kilku tysiącami wojska, aby zabiedz drogę posiłkom moskiewskim, które spieszyły na odsiecz Smoleńskowi.

W tem nadbiegła wieść, że brat cara moskiewskiego, Dymitr Szujski, ciągnie swoim na odsiecz w 50 tysięcy wojska i 20 tysięcy chłopów. Więc skoro noc zapadła, pozostawił garść wojska na straży obozu, a sam z resztą wymknął się cichaczem naprzeciw wroga.

Maszeruje wojsko przez krótką noc letnią z 3 na 4 lipca i ani sen oczu nie klei rycerzom, ani znużenia żadnego nie czują, taką ochotą biją im serca pod stalową zbroją..

Jutrzenka różowiła zaledwie niebo, gdy gdy zbrojne zastępy, wynurzając się z lasu, stanęły w pobliżu nieprzyjaciela. Raduje się oko hetmana widokiem dzielnych, choć nielicznych szeregów. Zakuci w żelazo ludzie wyglądają, ja olbrzymy, a dzielne ich rumaki

rwą się niecierpliwe, wyginają karki, parskają i rżą. Snać czują, że rozpocznie się tan nielada, że jęknie ziemia i pierś wroga pod ich kopytami. Oh, jęknie, bo tam, za siecią płotów pod wsią Kłuszynem, Moskali jak mrowia... Nie ogarnąć ich okiem, nie porachować usty!

Zwraca się hetman do swoich, przypomina im nieskalaną sławę polskiego oręża, tłómaczy, że Moskwa to dzicz, to barbarzyństwo, grożące wolności i oświacie ludów, zagrzewa do boju, obiecuje zwcięstwo!

Hetman daje hasło do boju i pierwsza husarya pomknęła na nieprzyjaciela. Uderza, łamie jego szyki, bo jej nikt i nigdy oprzeć się nie zdołał.

Pięć godzin wrzał bój zacięty, ale gdy ośm tysięcy cudzoziemskiego wojska, które kól szwedzki przysłał Moskalom na pomoc, poddały się i przeszły na stronę polską, pierzchnęli w nieładzie Moskale, kryjąc się po lasach, a wódz ich, carewicz Szujski, uszedł pieszo do miasta Mozajska.

Z pola bitwy, zdobytego przez Polaków, wzbiła się ku niebiosom dziękczynna pieśń: *Te Deum*. A chociaż wielu znalazło grób w tej ziemi obcej, chociaż innym bolesne rany ciepliły się krwi kroplami, wojsko nasze, przerzedzone, obdarte, radością jaśniało, bo dobrze w tym dniu zasłużyło się Polsce, drogiej Ojczyźnie, która walecznością i poświęceniem swych dzieci była przez długie wieki wielką, potężną, groźną wrogom, sławną u sąsiadów!

Zwycięstwo pod Kłuszynem, otworzyło Żółkiewskiemu bramy Moskwy. Jako tryumfator wkroczył hetman do stolicy potężnego państwa, wziął w niewolę moskiewskiego cara i dwóch jego braci, a od mieszkańców i wojska odebrał przysięgę wierności dla królewicza polskiego, Władysława, którego Moskale zgadzali się carem swoim obrać.

W kilka miesięcy po opisanych wypadkach święciła Polska szeregiem uroczystości tryumfy swoje nad Moskwą. W Krakowie przez trzy doby nie ustawały tańce, muzyka, korowody; Wilno z przepychem wielkim przyjmowało króla, który zdobył nakoniec Smoleńsk i hetmana wraz i ich orszakami.

W siedm lat po głośnem zwycięstwie pod Kłuszynem, spadły na Żółkiewskiego dwa wielkie zaszczyty: został on mianowany hetmanem wielkim, to jest najstarszym wodzem wojsk polskich, oraz kanclerzem czyli pierwszym przy boku króla ministrem.

Ale dostojeństwa, podobnie jak i wielkie zasługi nie wbiły go w pychę. Do końca pozostał skromnym w życiu publicznem, serdecznym i oddanym dla przyjaciół, miłosiernym dla nieszczęśliwych, dobrym i wyrozumiałym dla podwładnych. Jeżeli miał jaką ambicyę, to chyba w tym kierunku, aby pierwszym być zawsze w ofiarach dla dobra publicznego, a w końcu śmierć ponieść w obronie Ojczyzny.

I spełniły się marzenia hetmana; przelał krew dla Rzeczypospolitej, poległ w walce z pogaństwem: z turecką i tatarską dziczą.

Do zajścia między Polską a Turcyą przyszło z następującego powodu:

Wołosi, którzy — uznawali wpierw zwierzchnictwo Polski, a z biegiem czasu dopiero podbici zostali przez Turków, postanowili wyzwolić się z pod okrutnych rządów sułtana i wrócić znowu pod opiekę polskiego króla.

W tym celu, książę wołoski, zwrócił się do króla Zygmunta z prośbą o poparcie.

Polska nie szczędziła nigdy krwi swojej, gdy szło o dobrą sprawę. Więc też i teraz hetman Żółkiewski zgromadził naprędce 10 tysięcy wojska, przeprawił się na ich czele przez Dniestr i stanął obozem na cecorskiem polu, o dwie mile od miasta Jass.

Zaraz na wstępie spotkała Żółkiewskiego zdrada ze strony Wołochów. Książę ich, zamiast obiecanych 25 tysięcy, przyprowadził szczupłą garstkę zbrojnych, z 600 zaledwie jeźdźców złożoną. Reszta kryła się tchórzliwie przed potężnym wrogiem, który miał wojsko liczne.

Rycerstwo polskie nie straciło wszelako ducha wobec groźnego niebezpieczeństwa i nie troszcząc się o liczbę wroga, powtarzało starym swym obyczajem: „Pobijem, a wtedy porachujem“.

Jakoż wstępne utarczki wypadły pomyślnie dla polskiego oręża, a w pierwszej walnej bitwie Turków i Tatarów padło 10 razy więcej, niż Polaków. I nikt nie przewidywał wówczas, jaką klęską skończy się z dobrą otuchą rozpoczęta wyprawa.

Tę klęskę ściągnęło na siebie wojsko polskie własną winą. Tchórzliwy i podstępny ks. wołoski nie wahał się opuścić wezwanych przez siebie Polaków i postanowił uciec ze swymi przez rzekę Prut na Bukowinę. W ślad za nim poszło kilku z polskiej starszyzny i oto połowa niemal wojska opuściła obóz.

Pozostałe w obozie wojsko, nieliczne, za-

trwożone zdradą, upadłe na duchu, nie mogło już stawić czoła potężnej sile przeciwnika. Nie pozostawało więc hetmanowi nic innego, jak cofnąć się za Dniestr do Polski.

Teraz rozpoczęły się straszne dzieje tego pamiętnego odwrotu. Dostrzegli wnet uchodzących Tatarzy i Turcy, i z przeraźliwym wrzaskiem uderzyli na nich. Broniło się dzielnie wojsko, zagrzewane słowem i przykładem hetmana i cała noc upłynęła w rozpaczliwych zapasach, a po niej nastąpiło sześć innych, niemniej okropnych. Dniem tylko zatrzymywali się Polacy dla wytchnienia, a z nadejściem ciemności posuwali się, opędzając napaści, dalej krajem dzikim, błotnistym, poprzerzynanym rzekami, zasłanym dymem pożarów, bo nieprzyjaciel palił wszystko, co znalazło się na drodze: łąki, zarośla, siedziby ludzkie.

Głód i pragnienie, bezsenność i nieustanna walka wyczerpały siły nieszczęsnych rozbitków.

Osmego nakoniec dnia błysnął dla nieszczęśliwych promień nadziei. Już tylko półtorej mili dzieliło ich od Dniestru, już widać było ziemię polską, na której czekało ich ocalenie. Ale część wyczerpanego znużeniem wojska odmawia posłuszeństwa, nie chce iść dalej, domaga się wypoczynku. Nadaremnie przemawia do nich hetman, błagając i grożąc. Nikt go nie słucha — powstaje zgiełk, wrzawa, bunt jawny.

Dostrzegają zamieszanie Tatarzy, uderzają na Polaków. Teraz rozpraszają się w szalonym popłochu niemal wszyscy. Przy hetmanie pozostaje trzystu zaledwie towarzyszy. Za chwilę otacza ich ćma tatarska.

Wówczas ranny syn hetmana i ukochany zięć jego, Koniecpolski, i wierni przyjaciele błagają wodza, aby uchodził. Ale on przebija swego konia na znak, że w ucieczce ocalenia szukać nie będzie i równie wielki duchem w pogromie, jak w dniach tryumfu, odpowiada, że pragnie już tylko „tułowiem swoim do Ojczyzny nieprzyjacielowi drogę zawalić“, bo „gdzie owce giną, tam powinien i pasterz!“

Nikt z blizkich, nikt z tych, co uszli śmierci, nie był obecny przy zgonie hetmana, nikt więc nie mógł opowiedzieć o ostatnich jego chwilach. Ale opowiedziały o nich zimne zwłoki wodza. Sine otwarte wargi ran, ziejący na piersi, mówiły, że walczył do ostatniego tchu; odcięta wraz z szablą prawa ręka zaświadczyła Polsce, że oręża, który mu powierzyła, nie dał sobie wydrzeć za życia, o zupełności ofiary głosiła czcigodna, siwa głowa, którą Tatarzy, pastwiąc się wedle swego zwyczaju nad trupem, ucięli i zatkiętą wysoko na pice obnosili po swym obozie z wrzaskiem dzikiego tryumfu!

Głośnym jękiem żalu powitała cała Polska śmiertelne szczątki najwierniejszego swego syna, gdy — wykupione od Tatarów, wracały do kraju, do gniazda, do tej ziemi, którą bohater „piersi swemi zasłaniał“, jak opiewa napis z nagrobka, jaki w hołdzie czci i boleści wniosła mu żona za Dniestrem, tam, gdzie zgasła przeczysta gwiazda jego życia.

W grobowcach żółkiewskiego kościoła spoczęły drogie te zwłoki, a wewnątrz świątyni, po lewej stronie ołtarza, stanął ku pamięci bohatera okazały pomnik z marmuru. Ze zdobiących go napisów dwa zwłaszcza zasługują na uwagę. Pierwszy z nich upomina dalsze pokolenia słowami: „Jak chlubnie i słodko za Ojczyznę umierać, odemnie ucz się. Jedyny syn jego, Jan Żółkiewski, zakończył życie z otrzymanej w cecorskiej bitwie rany, która się niespodzianie rozwarła podczas przygotowań młodego rycerza do nowych z pogaństwem zapasów, a jedyny również wnuk po córce Zofii, Stanisław Daniłowicz i pierworodny prawnuk, Marek Sobieski, złożyli obaj młodzieńcze swe głowy w „słodkiej i chlubnej“ śmierci dla Ojczyzny, broniąc jej od Turków i Tatarów.

Z „Opowiadań historycznych“ *Maryi Wysłouchowej.*

SOBÓTKI.

Ustęp z dzieła Dygasińskiego p. t. „Gody życia“.

Autor opisuje tutaj zwyczaje pogańskich Słowian, naszych praojców z nad Prądnika i Wisły, którzy największą czcią otaczali Słońce, i jako boga światła, dobra — życia — uważali. To też w dniu 23 czerwca, gdy słońce najwyżej stoi na niebie i najdłużej ziemi przyświeca, urządzali oni ku jego chwale uroczystość palenia ogni po wzgórzach — borach — a równocześnie Wandę boginię, opiekunkę tych stron — czcili puszczaniem wianków — na poszukiwanie szczęścia zaś chodzili za kwiatem paproci.

*
* *

Dzień letni godowy urodził się na niebie — święto uroczyste śródroczne. Słońce

bowiem dosięgło szczytu panowania, występując w najwyższej potędze ciepła i blasku. Ziemia też rozwinęła już całą krasę wdzięków i wyczerpała siłę swej płodności.

Wydała na świat tyle skarbów życia, że choć niejedno zmarnieje, to nie będzie znać ubytku. I ma oblicze podobne do kwiatu, którego korona cudna już nie zdoła przybrać świetności większej.

Piękność macierzy naszej doszła do kresu ostatniego i barwy jej wspaniałe już nie zajaśnieją tego lata krasą wdzięków bardziej uroczych.

Miłosne stadło boskie ukończyło swoje dzieła twórcze.

Uczcijmyż tryumf Ojca - Słońca i Matki-Ziemi! Miłość ich wydała życie nowe, natchnęła świat stary duszą młodą o zapale ognistym.

Tarcza świetna błyszczy na niebie ogniem żywym, żarzy się, pali łono ziemi, piecze nas wszystkich. Wzbudza już nie miłość jarową, ale trójpotem znojów namaszcza czoło życia ziemskiego. Bóstwo jasne sypie piaskiem żaru rozpalonego, jak gdyby chciało strawić ogniem dzieci swoje. Stworzenie żywe omdlewa, wije się, upada pod brzemieniem spieki straszliwej.

Słońce w ten sposób wykończa swe dzieło: wychowuje i udoskonala odrodzony świat żywy. Ogrzewa pisklęta nagie, aby nie drżały z chłodów i sprawia dojrzewanie nasion, wydanych przez kwiaty. Jest to ogień przyszłej płodności świata.

Przecież pora szczęścia, rozkoszy miłosnych już minęła i dla byłych kochanków nastały czasy pracy, a z pracą — niedoli.

Spokojna miłość rodzicielska nie zna wybuchów, uniesień gorących; zabiegi pracowite: troski nieustanne, cierpienia są teraz na porządku dziennym.

Bóg jasny wraz miłością stwarza także cierpienie, które dopiero jest prawdą odczuta życia, jego istotą i szkołą.

Pod Słońcem, na tej Ziemi, cierpieć — jak i kochać — jest koniecznością nieuchronną. Kto do zgonu nie znał niedoli, ten nie ma miary dla wartości życia, ten i o szczęściu wie nie wiele. Szczęście samoluba jest małe, niskie, wystarczające tylko jemu samemu, który ma drogę zawartą do współczucia w doli i niedoli ze światem szerokim.

Nic to nie znaczy, że złe przypadki, nieszczęścia chodzą po świecie, że mężczyzna nie zawsze zwycięża. Trzeba nieraz zginąć, aby innym utorować drogę do zwycięstwa — umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość. Umiesz kochać, umiej walczyć, cierpieć i umrzeć! Byt doczesny, bez tego przykazania byłby marny, pozbawiony uroków wiary i nadziei.

Rozkosz i szczęście wiosny były piękne; praca, walka i cierpienie są uroczyście wzniosłe.

— Uczcijmy Słońce, stwórcę życia! Uczcijmy Ziemię, matkę zawsze dobrą!

— Cześć ci, Wando bogini, córo nieba, mieszkanko naszego Powiśla! Ty morzu, ty ziemi, ty powietrzu rozkazujesz!

Lud białosukmanny, w czapkach kraśnych rogatych, przepasany bylicą, napływa do Bohboru od rana, a każdy ma na ustach słowa:

— Jasny *) — sobótki, objaty; Wanda — wianki, kwiat paproci.

Gwar ludzi napełnia puszczę, kędy się piętrzą skały, ołtarze bóstwa wyniosłe: Chełm, Ręka, Złota, Piaskowa Skała i inne. Tu Jasny corocznie odbiera cześć z ognia od narodu. Stąd łuny płomienne czci jego sięgają niebios i są widne u źródeł Pilicy, u brzegów Wisły pod Wawelem i na łąkach nadnidziańskich.

Tu Prądnik wartki, przeźroczysty zaludniony przez boginie wodne, szumnie toczy z gór fale ku Wiśle, a falami — objaty **) wianków wdzięcznych dla Wandy.

Mrok poczyna zalegać puszczę, stoki gór i doliny Bohboru roją się od ludu pobożnego; starcy sędziwi — parobcy śmigli, krzepcy a raźni, niewiasty z dziećmi, dziewuchy wysmukłe, piękne jak kwiaty — wszyscy zebrani w „stada“ wesoło pośpiewują:

— Ej wieczór krótki, zapalmy sobótki!

A co tu pieśniarzy, dudarzy, grajków przeróżnych!

Pod siekierami chłopów rosłych, jarych, walą się z trzaskiem choje, jodły, brzozy, jałowce, a młodzież układa z nich na górach stosy wysokie. Drzewa jęczą pod ciosami toporów: toż wiadomo, że mają duszę i onego czasu, jak ludzie, chadzały po świecie szerokim.

Ale bogi muszą mieć objaty z istot żywych i gniew ich nieraz dopiero krwią ludzką daje się uśmierzyć.

Dziewice strojne w wieńce kwiatów, cudne i niepokalane — godne jąć się sprawy świętej — wystąpiły z „stada“, trą drwa suche, wzniecają ogień żywy.

*) Bóg słońce.
**) Ofiary pogańskie.

— Świeć i święć się, ogniu boski! W świecie, w chatach, w duszach ludzkich! Ogniu żywy, płoń, zapalaj i ogrzewaj!

Chóry pieśni dziewiczych, miękkich, dźwięcznych, płyną po rosie wieczornej, napełniają świętością puszczę, już i tak świętą.

Ogień żywy błysnął nareszcie, zaczął płonąć, świecić w łuczywach suchych. Podpalono jego iskrami stosy drzewa, ułożone na górach i wnet języki płomieni, kłęby dymu burego buchnęły wysoko w niebiosa.

— Chwała, o chwała! — Huczy wokoło szmer zadowolenia.

— Sobótki nasze muszą być widne i na wzgórzach wiślickich!

Płomienie wyrywają się ze stosu, ich szmaty skaczą prosto do nieba. Jasność zalewa okolicę.

Kapłan - objatnik urzezał jałówkę czerwoną, dotknął językiem jej krwi ciepłej, aby smakiem wyczuć tajemnicę życia. Lud może zażąda dziś wieszczby, więc usta księdza muszą mieć namaszczenie do oznajmienia wyroków boskich. Złożono Jasnemu objaty sute: tłuste mięsiwo i czasze prosa zgorzały z trzaskiem wśród żaru. Naród z obliczem wzniesionem do niebios, chórem odmawiał modlitwę od dziadów pradziadów przekazaną.

— Bożycu, panie jasny, chodzący po niebie, spożywaj dary nasze, a wysłuchaj prośby ludu swego: uchroń nas od nieszczęść! Nie pal niw ludzkich skwarami, nie zniszcz ich potopem burzy, oszczędzaj głowom i strzechom naszym piorunów gniewu swego, błogosław dziatwie i dobytkowi!

Ogniu święty, który od boga z niebios pochodzisz i masz w sobie mocy boskie, oświecaj, ogrzewaj chyże*) nasze! W ciemnościach i chłodach straszliwych zbawiaj życie! O ogniu łuną cudną bijący do nieba, zanieś Jasnemu cześć i modłu ludu!

Dopełnili obrzędu świętego i z zapałem niezmiernym rozpoczęli teraz igrzyska wesołe.

Ćmy zdumione jasnością pożogi, leciały jak w obłędzie do ognia na zgubę. Niektórzy ptaszkowie brali pożar sobótki za słońce i rzucali się ku niemu. Inni z pośpiechem stronili od wrzawy ludzkiej i spiekoty płomieni. Zwierz drapieżny, wabiony wonią krwi i mięsa objaty, ostrożnie węszył z oddalenia.

*) Sadyby.

Gdzie tylko płonie sobótka, tam wre i ochota uczty.

— Wszyscy na rozpust, jako wyuzdani, idą bylicą w poły przepasani. Swierkowe drzewa podpalone trzeszczą, dudy z bąkami, jak co złego wrzeszczą.

Rogi, trąby, ligawki, bąki, gęśle, liry grajków miejscowych i wędrownych brzmią na wszystkie strony, zlewają się w jedno z gwarem rozmów, okrzyków, klaskaniem w dłonie i z dźwiękami pieśni. Na Chełmie czasem z gwaru tego można wyróżnić:

— Dana ono, dana!

W dolinie Sąspowskiej jakaś samotnica pośpiewuje przy źródle świętem:

— Oj dada, dada, dada!

Czciciele słońca i ognia, podzieleni na „stada“, czyli rzesze, otoczyli w okrąg stos płonący i pląsali, trzymając się za ręce. A niewiasty i dziewki, spojone dłoniami, snuły się, przechylały na prawo, na lewo, pośpiewywały.

— Łado*) moja, Łado, Łado!

Czasem parobek jaki z boku rzucił żartem szyszkę lub kwiatek, godząc w dziewuchę, dla której miał serce. O bo w tych „stadach“ zwykle kojarzą się „stadła“! Spojrzenie wymowne lub uśmiech są odpowiedzią na pocisk zaczepny.

— Usiłuj mię pozyskać, a pozyskasz!

Mężowie sędziwi przytupywali w takt rogów, trąb, gęśli i prowadzili tan poważny— zwany „wielkim“ albo „pieszym“.

Za to młodzieńcy wśród okrzyków „hej-że hop, hop!“ w skokach dziarskich sadzili przez płomienie stosu: Ogień żywy oczyszcza człowieka i broni od wszelkich nieszczęść.

Burza śmiechu huczała w borze, jeżeli ktoś niezdarny zawadził, czy hybił w skoku, padł w ognisko i musiał się ocalać ucieczką pospieszną od upieczenia.

My jacy - tacy umiemy pląsać!

Chłopcy dobierali sobie dziewoje upodobane: stado rozbijało się na stadła.

Swawola swobodna w pieśniach, wzajemne przymilanie się płci obojej w ruchach, coraz bardziej wzrastały z każdą chwilą.

Tymczasem inni znowu używali kąpieli w Prądniku: oczyszczali się w wodzie, podobnie, jak tamci w ogniu. Woda żywa krzepi, daje życiu świeżość i czystość.

A tam oto, z kładki na strumieniu, dziewczęta hoże i niehoże puszczają na wodę

*) Bogini młodości i miłości.

wianki z rutki, macierzanki, z lubczyku, rozchodników i z bożego drzewka. I tutaj pieśń daleko w świat leci po wodzie:

— Wianeczku ruciany, ozdobo mej głowy — płyń w odmęt wiślany — do Wandy królowej!

Swoją drogą objata dla bogini, a swoją — pragnienie tajemne i gorące, ażeby wianek dostał się w ręce tego młodzieńca, dla którego serce dziewczyny żywo bije.

Cyż los ma rozstrzygać sprawę miłości? Powierzamy to bogom i jest jakoś nieźle na świecie.

Niejeden młokos idzie z biegiem wody w pogoń za wiankami. Szczęśliwy, jeśli złowi to, czego pragnie: ma bowiem prawo uścisnąć i ucałować właścicielkę wianka.

— Tyś moja, moja z woli bogini Wandy

— Kopciuchu, trzymaj się ciepła!

Wnet poszły i pląsy parzyste mężczyzn z białogłowami — owe „drobne, skoczne“, a także — krakowiak.

Jakże przeraźliwie rozlega się odgłos kroków!...

W dolinie Prądnika dwoje ich opuściło ucztę godów letnich i szli poszukiwać kwiatu paproci. Miłość była ich przewodnikiem i natchnieniem do spełnienia dzieła zuchwałego.

Jedna z dziewic, które rozniecały ogień żywy podczas obrzędu sobótek, wznieciła płomień jeszcze żywszy w sercu młodzieńca. On dzisiaj posiadał jej wianek, puszczony z wodą na objatę dla Wandy.

— Jesteś moją z wyroków bogini, więc pójdźmy szukać szczęścia w zaświaty!

Oboje mieli już w duszy skarb szczęścia nieprzebrany, a pragnęli więcej.

Najprzód kroczyli jedno obok drugiego po drodze szerokiej, równej i prostej, skąd widzieli ponad sobą niebo gwiaździste piękne. Serca ich natarczywie pożądały zbliżenia, więc oboje spoili się dłoniami.

Milcząc wyszli na ścieżki wąskie, bardzo kręte, gdzie światło księżyca tylko miejscami rzuca na ziemię smugę jasną.

Im dalej w bór, tem większe bezdroża, a w okoluteńko — ćmy nocy okropne. Nie słyszeli bynajmniej, że dziwy u wierzchów drzew wieszczą im nieszczęście, że u-hu-huu szyderskie rozlega się w puszczy.

Przebywali jary głębokie, tułali się wśród skał, utykali na kłodach drzew zwalonych, wypłaszali z jaskiń zwierzęta dzikie, które wraz z marami raźno pierzchały przed nimi.

Zaszli tam, gdzie jeszcze nikt nie bywał.

W tych kniejach niedostępnych, gdzie tylko wąż pełza, ślimak leniwy zasypia, znajdą niezawodnie kwiat paproci; chyba, że im szczęście własne stanie na przeszkodzie. Byli pewni swego i spoczęli, aby doczekać chwili północnej, pory zakwitania.

Tak dobrze; dłoń w dłoni, serce obok serca...

Światła wiekuiste sklepienia górnego wskazywały właśnie północ, chwilę jedyną, kiedy na padołach naszych paproć wystrzela kwiatem cudownym, posiadającym własności nadzwyczajne.

Kto posiądzie ten kwiat-dziwo, ma przystęp wolny do wszechskarbu świata i już się wcale nie obawia niedoli doczesnej. Może się snadnie wdrapywać na szklanną górę szczęścia, pokonywać bez trudności wszelki opór, używać życia bogów nie znających cierpienia i zawiści naszego świata. Jest to kwiat-gwiazda, kwiat-marzenie.

Różni śnią od wieków dawnych o tym talizmanie *) szczęścia, ukrytym w tajemniczej głębi borów, a jeszcze go nikt nie zdobył.

Bohaterowie sławni, opiewani w pieśniach starych, nadaremnie robili wyprawy pełne przygód osobistych.

Bywali wśród nich tacy, którzy dotarli tam, gdzie należało, i już mieli pochwycić skarb w dłonie, a strudowani, zbiedzeni srodze, powrócili z niczem do domu. Inni nawet przypłacili życiem przedsięwzięcie zuchwałe.

O jakże piękne jest to, o czem każdy marzy, a czego nikt posiąść nie zdoła!

Zakwitanie paproci trwa przez chwilkę krótką — jedno mgnienie oka.

Kwiat mignie, jak błyskawica, olśni cię, oślepi blaskiem niezmiernym, wprawi w zdumienie nadzwyczajne i w tejże chwili — zanim się opamiętasz — zjawisko cudowne znika.

A trzeba naprawdę posiadać serce nieznające twogi, ażeby się zbliżyć i przynajmniej z oddalenia rzucić okiem na to dziwo niesłychane. Bo siedzibą kwiatu są ciemności przerażające puszczy: tem świetniej on jaśnieje.

Tam wilki zwykle zakładają gniazda, tam niedźwiedze ścielą barłogi, tam ród zdradziecki biesów przerozmaitych rozpościera swoje panowanie, zgubne dla świata żywego.

---

*) Rzecz święta, która sprowadza szczęście.



STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

WIELKI HETMAN KORONNY.

Kwiat cudowny paproci jest w mocy wrogów światła, bóstw czarnych, które zawzięcie bronią przystępu do niego, a nie dają się przejednać żadną objatą: szczęście świata byłoby dla nich zgubą.

Przeto bożec leśny wyprawia szumy, łoskoty i gwiżdże, skrzypi, klaska, aż szpik zamarza ci w kościach.

Ten olbrzym potężny przerasta głową jodły najwyższe w puszczy, chadza w kożuchu niepodpasanym, zapiętym z lewej strony na prawą, i pierwszy miota z góry na śmiałka trwogę śmiertelną.

Okropność, co za głosy on wyrzuca! A dziwy, duchy złowrogie wtorują mu jękiem, wieszczą nieszczęście, zgubę niezawodną, rzucają przekleństwo, urągają, złorzeczą.

Młodzieniec i dziewica porwali się na równe nogi, biegli bez pamięci z trwogą w sercach.

Mary poczwarne oskoczyły ich wokoło, puhacz prześladował wyciem.

Bór zatrząsł się, narósł od biesów strasznych...



JAN III. SOBIESKI

KRÓL POLSKI.

Strwożeni potykali się o kamienie, zawadzali o drzewa, ciernie raniły im czoła. Ujrzeli w pobliżu światełko mdłe.

— Kwiat paproci! — szeptali kolejno i biegli jak do zbawienia.

To świetlik, chrząszczyk maleńki, przyświecał blaskiem złotawym sam sobie.

U-hu-huu znowu zawyło, dziwy syknęły, jak węże.

— Patrz, tam oto coś pięknie błyszczy, jaśnieje!

Ona powiada głosem stłumionym:

— Może to szczęście nasze?...

Szli ścigani przez widma, pobudzani przez nadzieję Przybyli do próchna dębu starego, który przeżył tysiąc lat, zbutwiał i to światełko — kto wie, czy nie duch nieboszczyka dęba — opowiada o znikomości żywota doczesnego.

— Próchno!

Żądni, znowu gonią.

Jakiś płomyk światła pomyka wśród moczarów leśnych, wyraźnie nęci ich ku sobie, połyskuje, miga — istna gwiazdka, obietnica szczęścia. Nie daje się coś imać: ucieka, kiedy idą ku niemu; goni za nimi, gdy odstępują.

— Ah, jest to ognik błędny, złudna mara szczęścia na padołach płaczu!

Teraz spieszcie żywo! Na zwalisku skały ocienionej jodłami dwa światła migotliwie błyszczą. Jeżeli one nie są kwiatem cudownym, bo chyba już go wcale niema w obiecanej ziemicy Bohboru. Żarzą się przecież, płoną tak jasno, że wątpić nie należy. Oboje pobiegli, wyciągają wśród ciemności dłonie pożądliwe, utkwili oczy w cel jaśniejący.

Nuże, ty sprawniejszy, wespnij się rączo na skałę, pochwyć i podaj mi kwiat wszechszczęścia!

Zachęta dodała bodźca jego pragnieniu. Dotarł i już, już ma pojmać skarb pożądany...

Śmiało porywa się nagle, uchodzi w górę, znika i zostawia poza sobą ów głos straszny, od którego włosy powstają na głowie:

— U-hu-huuu!

Biesy tym śmiechem naigrawają się z dzieci słońca i ziemi.

Oni wzięli za kwiat paproci światło oczu smoka-puchacza.

Smutni, rozczarowani wracali z wyprawy po szczęście: nie znaleźli cudokwiatu, a uronili własny skarb szczęścia. Gorycz niezadowolenia napajała ich serca. Ci już

nigdy, nigdy nie będą pięknie marzyli o szczęściu.

Jasny świta po godach odbytych. Mary pierzchają, życie budzi się ze snu i dawa znaki bytu.

Słońce w todze przejasnej cudnie wypływa na niebo. Jakież ono piękne, bosko wspaniałe w poranek dnia czerwcowego i tak pięknie świat wygląda w jego blasku! Lecz ich zwątpienie podgryzło, nie śmieją wznieść oczu ku niebu. Zapatrzeni w prawdę nową, nie chcą widzieć, że wokoło wszytko żywe wierzy niewzruszenie w słońce, pełni jego przykazania: kocha i cierpi.

Historya Ziemi.

II.

Kopiąc tu i owdzie głęboko w ziemi, natrafiamy na rozmaite rodzaje skał, kamieni, na warstwy i pokłady przeróżnych minerałów, n. p. węgla kamiennego, soli, gipsu, wapienia, piaskowca, na żyły kruszców lub ich rud, jak: żelaza, miedzi, nawet złota itp.

To dowodzi, że skorupa naszej ziemi, składa się z przeróżnych minerałów, nie w jednym czasie i nie w jednaki sposób powstałych.

Im bowiem skały ziemskie są twardsze, bardziej jednolite, zbite i bezpostaciowe, tem muszą być starsze, to jest powstały one w tych okresach tworzenia się skorupy, kiedy to wewnętrzne siły wyrzucały masy rozżarzone na zewnątrz, a te stygnąc, twardniały i stanowiły najpierwotniejsze pokłady stałej powłoki ziemskiej (granity, porfiry, bazalty). Skały zaś miększe i skrystalizowane n. p. sól, gips, wapienie itd. są osadami wód, rozpuszczających części minerałów już istniejących i układających je warstwami na swem dnie, a następnie wydźwignięte ponad wody, tworzą tak zwane skały młodsze czyli osadowe.

Jeżelibyśmy jednak skorupę ziemską w kilku miejscach przekroili, przekonalibyśmy się, że nie wszędzie najstarsze skały leżą głębiej, niż młodsze, jak właściwie, według czasu powstawania ich, być powinno. Owszem zdarza się nawet, że skały najstarsze n. p. granitowe, znajdują się na najwyższych szczytach gór, a pokłady soli gipsu lub wapienia leżą bardzo nisko w głębinach ziemi — i kopać trzeba długie szyby do ich kopalni wiodące.

Ale to dowodzi tylko tego, że skorupa ziemi naszej przez bardzo długie czasy podlegała ogromnym wstrząśnieniom, spowodowanym siłami wewnętrznemi, n. p. siłą prężenia gazów, znajdujących się we wnętrzu ziemi, i że pod wpływem tychże wstrząśnień, jedne jej części dźwigały się do góry, drugie zapadały; że tam, gdzie było dno morza, mogły nagle wystąpić długie łańcuchy gór wysokich, a wyżyny obszerne mogły być również szybko i niespodziewanie wodą oceanów zatopione.

Tak tedy warstwy skał pierwotnych, siłą wewnętrzną wypchnięte, przedzierały inne młodsze warstwy mineralne, na nich leżące, i dźwigały się w górę; a tamte osadowe, młodsze, poprzerywane, ponachylane w przeróżne strony, pod spód się zapaść musiały.

*
* *

Nietylko jednak jakość skorupy ziemskiej i wiek jej pokładów poznaje się z twardości, zbitości i gatunku minerałów jej skał, lecz także z odcisków i skamieniałych szczątek roślin i zwierząt pierwotnych, które się w tychże pokładach znajdują. Jest bowiem jasną rzeczą, że w skałach, które powstały najdawniej przez stężenie lawy rozpalonej wnętrza ziemi, nie może być żadnych śladów istot żyjących, bo w gorącej, rozżarzonej, płynnej, ognistej masie, nic żyć przecież nie mogło. Gdy zaś skorupa ziemska już cokolwiek stężała, ochłódła i woda opadła, a powierzchnię na zewnątrz osłoniła, to jest gdy wytworzyły się jakie takie warunki życia, stworzył Pan Bóg najpierwsze rośliny i zwierzęta, naturalnie jeszcze bardzo niedoskonałe i mało rozwinięte, i takich też skorupki lub odciski znajdujemy w warstwach skał młodszych. Im zaś, z biegiem czasu, bardziej skorupa ziemska chłodła, im więcej stałego lądu, czyli suchej ziemi z pod morskich fal się wynurzało, im atmosfera (powietrze) bardziej w tlen się uposażała, tem lepsze stawały się warunki bytu dla tworów żyjących, tem też doskonalsze istoty organiczne, rośliny i zwierzęta, na ziemi się zjawiały, rośliny olbrzymie, z których całe nieprzebrane pokłady węgla i nafty powstały — zwierzęta wodne, lądowe i powietrzne, których kości w warstwach skał

późniejszych znajdujemy. Aż wreszcie powołał Stwórca do życia najwyższe swoje dzieło, duchem nieśmiertelnym ożywionego człowieka.

Według tych wskazówek postępując uczeni badacze skorupy ziemskiej (geologowie) podzielili cały czas tworzenia się jej na 5 wielkich okresów, z których każdy trwał po kilkadziesiąt milionów lat. Okresy te nazywają się: 1) pierwotny, 2) starożytny, 3) średni, 4) nowożytny, 5) najnowszy. Każdego z nich pokrótce co najważniejsze cechy podamy.

Okres pierwotny

przypada na ten czas, gdy skorupa ziemska była prawie, że jeszcze rozżarzoną, a potem miękką i lepką, na podobieństwo ciasta. Przyczyną tego stanowiły bezustanne zalewy wodne, które z powietrza na ziemię spadały, a zetknąwszy się z jej gorącą powierzchnią, zamieniały się w parę i znów do góry unosiły. Co więc potęga ognia zbudowała, to jest: skały z lawy wyrzuconej powstałe, to zmywała, rozpuszczała i osadzała woda, a skały owego okresu stanowią: granity, porfiry oraz i łupki. W nich występują obficie żyły kruszców: złota, srebra, platyny, oraz rudy ołowiu, miedzi, cynku, żelaza itp., a gdzieniegdzie i drogie kamienie, jak dyamenty, rubiny, szmaragdy, szafiry. Ponieważ te skały stanowią niejako podstawę skorupy ziemi, znajdują się więc na całej jej powierzchni. W Polsce znajdujemy granit, gnejs i łupek w Tatrach, a porfir w Galicyi zachodniej w okolicy Krzeszowic.

Okres ten przewrotów i tworzenia się skorupy ziemskiej, uważają uczeni za najdłuższy ze wszystkich późniejszych, niektórzy nawet twierdzą, że trwał około 50 milionów lat, a przedstawiał taki zamęt i tyle wstrząśnień w przyrodzie ziemi, że o warunkach życia naonczas ani mowy być nie może. To też w skałach tego okresu nie spotykamy żadnych śladów istot żyjących, ani skamieniałych ani odcisku żadnego i dlatego okres ten nazywa się też bezzwierzęcym.

M. T. Bł.

Hodowanie młodych kaczek.

Chociaż kaczka jest wybitnym ptakiem wodnym, zdaje się, że przy wychowywaniu młodych kaczek jest bezwarunkowo lepiej, jeśli się ich na wodę nie puszcza. W spokoju rozwijają się one o wiele prędzej, tak, że w przeciągu 10-ciu tygodni wyrastają zupełnie, są opierzone i mięsiste; przeciwnie na wodach chowane kaczki rozwijają się o wiele później i mniej mięsa osadzają. Pierze ich jest wprawdzie lepsze, ale to rzecz podrzędna.

Młode kaczęta wynosi się dnia trzeciego na dwór. W miejscu dobrze ochronionem, blisko domu, zakłada się mały dziedzińczyk kaczy, którego obramowanie siatką drucianą wynosi się tak wysoko, aby inny drób nie mógł się do niego dostać. Miejsce to musi być słoneczne, ale zawierać powinno także kącik cienisty, celem ochrony od skwaru południowego. Tam ustawia się długie, bardzo wąskie korytka, w ten sposób, aby kaczęta w nie nogami wchodzić nie mogły i płytkie naczynie na wodę, które najlepiej wpuścić nieco w ziemię, ażeby kaczęta mogły z niego wygodnie wychodzić. Z początku wkłada się nawet kilka kamieni w wodę, ażeby zwierzątka nie musiały zbyt długo w niej pozostawać albo uszkadzać się nawzajem w natłoku. Naczynia te powinny być zawsze pełne i trzeba starać się o to, aby woda była czysta. Ilość stosuje się do liczby zwierząt.

W pierwszych dniach daje się kaczątom nieco chleba, rozmoczonego w wodzie, z dobrze posiekaną pokrzywą i twarogiem. Po ośmiu dniach daje się mniej chleba, a więcej pokrzywy, sałaty albo liści bzu, dobrze posiekanych, zmięszanych z otrębami i odrobiną mleka. Po 14-tu dniach dobrze jest podawać pokarm więcej zbity, dodając naparzonych plew pszenicznych lub owsianych, ale zawsze wszystko dobrze wymięszane i więcej wilgotne, niż suche. Jeżeli można dostać „kaczorynia“, to jest rzęsy (Łemna), które powleka nieraz zupełnie rowy i sadzawki napełnione wodą i domieszać go do karmy, to osiągnie się pokarm nietylko tani, ale także bardzo zdrowy.

Przedewszystkiem trzeba wypośrodkować, ile pokarmu potrzeba na jedno danie, gdyż kaczki nie powinny zostawiać resztek, ale powinny też i najeść się do syta, tak ażeby

się spokojnie na spoczynek udały; oczekując następnego podania pokarmu. Dlatego należy im podawać pokarm po raz pierwszy o godzinie 5-tej rano, drugi raz o 9-tej, a trzeci o 12-tej i t. d., co 3 lub 4 godziny aż do zmierzchu. Wody nie powinno nigdy zabraknąć.

Jest rzeczą wiadomą, że kaczki są bardzo żarłoczne; przez spokojne siedzenie okazują one swe zadowolenie. Ale jeżeli się nie poda pokarmu na czas, to dają zaraz znać o sobie i kwaczą tak długo, dopóki się ich nie zaspokoi. Ziarna nie wymagają, a zamiast otrębów można im dać nieco pośladu, który wpływa na wzmocnienie i szybszy wzrost.

Jakkolwiek taka hodowla daje dużo zachodu, polecić ją należy, szczególnie wtedy, jeżeli się chowa kaczki na wielkie rozmiary w gromadkach po 100 do 200 sztuk, gdyż może je wówczas obsłużyć jedna osoba.

Dodać jeszcze należy, że sałata w całych liściach podawana jest wybornym pokarmem pobocznym, pomiędzy właściwemi daniami i przyczynia się wielce do wzrostu. W ogóle liści zielonych żałować kaczkom nie trzeba.

(Głos rolniczy).

ROZMAITOŚCI.

Pierwszy Wiec narodowy we Lwowie. Od dłuższego już czasu ludzie dobrej woli, a gorącej miłości Ojczyzny, przygotowali wspaniały objaw narodowego naszego poczucia, mający na celu obmyślenie sposobów samoobrony i skutecznej pracy na polu szerzenia i utrwalenia polskości. I doprowadzili zamiar swój do zamierzonego celu, urządzając w dniu 31 maja i 1 czerwca we Lwowie Wiec powszechny narodowy. Zjechało się nań z całej Galicyi około 1000 osób, rożnego stanu i różnych politycznych przekonań, ale jedną myślą i jednem uczuciem owianych: miłości Ojczyzny i chęci ratowania jej z obecnego upadku. A samych chłopów przybyło na wiec ten przeszło 300, gotowych i radą i doświadczeniem swem pomagać w wielkiem dziele pracy narodowej.

Po nabożeństwie w kościele katedralnym odprawionem, zagaił Wiec w jednej z największych sal lwowskich prezes komitetu, poseł Tadeusz Romanowicz wspaniałą i wzruszającą mową, w której wytknął dobitnie cele takiego zebrania i takich wspólnych obrad nad sprawami narodowemi — poczem zgromadzeni wiecownicy:

1) stwierdzili nierozerwalną jedność narodową z ziemiami polskiemi pod innymi zaborami;

2) wyrazili rodakom pod rządem rosyjskim i pruskim cześć i wdzięczność za ich niezłomną wierność dla narodowej idei, ofiarną pracę dla przyszłości i za skuteczną obronę narodowego bytu;

3) oświadczają gotowość do niesienia im bratniej pomocy we wszelkiej potrzebie i na każde ich zawołanie.

Poczem powitał wiecujących jako gospodarz — prezydent Lwowa, Dr. Małachowski — raz jeszcze kładąc nacisk na to, co najważniejszy stanowi cel obecnego zebrania się Wiecu — t. j. na zespolenie wszystkich stronnictw i uświadomienie ludu polskiego, a zakończył życzeniem, aby obrady te w jak najbliższym już czasie przyniosły pożądane owoce.

Główne prace Wiecu odbyły się w Sekcyach, gdzie rozpatrywano narodowe potrzeby z różnych stron i stanowisk — i gdzie uchwalono kilka bardzo ważnych i doniosłych rezolucyi. Wreszcie drugiego dnia po południu na pełnem posiedzeniu, zamknięto Wiec pierwszy — a uczestnicy jego z pieśnią na ustach „Jeszcze Polska nie zginęła“ — powrócili pełni podniosłego wrażenia.

Włościańscy goście w Krakowie. Co roku, od szeregu lat, przybywają do Krakowa w Zielone Święta różne wycieczki włościańskie z różnych stron kraju, celem zwiedzenia miasta, jego skarbów i pamiątek historycznych, i z każdym rokiem wycieczki te są tłumniejsze, i pochodzą z coraz bardziej odległych stron kraju, stamtąd, gdzie duchowy związek ze stolicą Piastów trzeba na nowo zadzierzgać i umacniać. Aby tacy drodzy goście mogli istotnie z wycieczek swoich odnieść jakie korzyści, zawiązał się w Krakowie stały komitet obywatelski, na którego czele stoją: p. Marya Siedlecka, znany kaznodzieja z zakonu OO. Kapucynów ks. Anioł, oraz młodzież akademicka.

Więc teraz oto przybyli włościanie z pod Horodenki, Buczacza, Trybuchowic, Olejowa, Bukwiny, Żyznomierza i z pod Śniatyna, prowadzeni przez tamtejszych księży. Najliczniejszą była, bo paręset osób wynosząca, wycieczka z buczackiego powiatu, z którą przybył marszałek powiatu p. Błażewski. W sobotę po południu oczekiwał gości na dworcu krakowskim komitet, którego imieniem do przybyłych przemawiał, witając ich serdecznemi słowy, ks. Anioł i p. Jadwiga Strokowa. Z dworca, podzieleni na 9 grup, ruszyli włościańscy goście na kwatery, przygotowane dla nich po klasztorach i gmachach miejskich, skąd po odpoczynku udali się jeszcze tego samego dnia na zwiedzenie miasta. Przy każdej grupie szedł jeden z młodzieży akademickiej, tłómacząc i objaśniając gościom w siermięgach każdy szczegół godny ich pamięci.

Przybysze zwiedzali przedewszystkiem kościoły, które wspaniałością swą i ogromem, jak np. katedra, kościół N. P. Maryi i inne, wielkie na nich wywarły wrażenie; niemniej z uwagą, zachwytem i zrozumieniem rzeczy zwiedzali zbiory i muzea krakowskie, oraz publiczne gmachy.

W teatrze miejskim byli dwa razy, w niedzielę i w poniedziałek na „Kościuszce pod Racławicami“. Sztuka podobała im się niezmiernie; starzy, siwi włościanie, zarówno, jak ich żony, młodzi parobcy, jak i młode dziewczęta z zapartym oddechem słuchali, gdy wódz w sukmanie przysięga na Rynku walkę z najezdcą i gromkie bili brawa, gdy drugi bohater w sukmanie, Głowacki, czapką nakrywa rosyjskie działa.

Druga wycieczka kilkuset włościan z pod Tarnopola przybyła w poniedziałek do Krakowa w przejeździe z Kalwaryi Zebrzydowskiej. Wprost z dworca udali się Tarnopolanie pod pomnik Mickiewicza, gdzie złożyli wieniec — takisam wieniec z szarfami o barwach narodowych złożyli chłopi z Buczackiego — poczem udali się do parku dra Jordana, gdzie przy wspólnej wieczerzy złączyli się z chłopami z pod Buczacza. Po raz pierwszy może na Błoniach krakowskich, u stóp kopca Kościuszki, w uroczym parku, znalazło się tak mnogo siermiężnego ludu i z tak dalekich stron kraju, który, mimo przebywania oddawna w odrębnem środowisku narodowem, zachował wiarę, strój i język polski nieskażone. Podczas wieczerzy w parku przemawiali p. Franciszek Wójcik, ks. prałat Gromnicki, poseł Cielecki, oraz włościanin, I. Narajewski, a p. Jejde, artysta teatru miejskiego, wygłosił piękny wiersz p. t. „Oświata“. Chłopi buczaccy udali się nazajutrz popołudniu do Wieliczki, skąd powrócili do domu, Tarnopolanie zaś zwiedzali jeszcze pamiątki Krakowa.

Na pamiątkę pobytu w Krakowie, w Zielone Świątki 1903 roku, wierszyk ten rozdawano Drogim Siostrom i Braciom włościanom imieniem redakcyi *Przodownicy*.

Kraków, 30 maja 1903 r.

O! witajcie!

O! witajcie!! sercu mili...
Z stron dalekich tu przybyli
Z cichych wiosek — z białych chat...
Stary Kraków z łzą radości
Wita takich drogich gości,
Co chcą wspomnień z dawnych lat.

Są tu groby królów sławnych,
Są tu ślady zwycięstw dawnych,
Wież kościelnych cały las...
Wawel stary, Zygmunt z wieży,
I ta Wisła, co w lot bieży,
Wszystko — wszystko wita was!

Wszystko tutaj — każdy przyzna
Toć i wasza ojcowizna
Skarbiec chwały — dziejów głos.
Bo nie zginął ślad wielkości
I nie zagasł błysk jasności,
Choć wróg srogi zadał cios. —

O! witajcie!... wy, z tęsknotą
Jak za gwiazdą jaką złotą
Szli przez wiele rzek i pól,
A za wami, ciemnym śladem,
Jak po polu zbitym gradem,
Wlókł się ciężki życia ból...

Źle wam bracia... nam źle w świecie,
Bo niewola o! tak gniecie
Jak macochy sroga dłoń...
Lecz, o patrzcie!.. Wśród Krakowa
Spływa w serce siła nowa,
Promienieje polska skroń...

Wszystko tak jest — jako było
I nic Polski nie zaboli,
Choć poniosła wiele strat...
Żyje wielka — silna żyje,
Bo miliony serc jej bije,
Czy po miastach, czy wśród chat...

Żyją wielkie Jej wspomnienia,
Chwała przeszłość opromienia,
A lud w przyszłość rzuca siew!
. . . .
O! witajcie!... wy zdaleka,
Stary Kraków na was czeka,
Zygmunt serca dzwoni śpiew...

I mogiła Naczelnika
Już z przed oczu wam nie znika,
Lecz ku sobie wzywa was —
Przyjdźcie bliżej — już od wieka
Na lud polski Polska czeka,
„Do wstawania wielki czas!“

Jadwiga z Łobzowa.

Proces w Gnieźnie. Termin w sprawie gimnazyastów, których ukarania domaga się rząd pruski za to, że uczyć się mieli historyi polskiej w tajnem kółku, wyznaczono przed gnieźnieńską Izbą karną na 8 czerwca godz. 9 rano. Oskarżonych jest 24.

Trzeci Maj w Warszawie. Młodzież warszawska obchodzi corocznie rocznicę wielkiej konstytucyi, naturalnie o tyle, o ile można przy tamtejszych zakazach. I w tym roku zebrało się mnóstwo studentów w kościele Świętokrzyskim na Krakowskiem Przedmieściu, aby po nabożeństwie przejść gromadnie przez

główne ulice miasta. Rzuciła się też na nich policya i kilkunastu aresztowała. Nie dość jednak na tem. Policmajster niezadowolony z małego „połowu“ urządził na własną rękę awanturę.

Około pierwszej popołudniu zapanował zupełny spokój. Dzień był pogodny, piękny, nawet upalny, jak na sam początek maja. Nic nie zapowiadało, że może się jeszcze stać cośkolwiek. Tymczasem nagle, bez żadnej do tego przyczyny, wstrzymano około 5 popołudniu komunikacyę kołową w Alejach Ujazdowskich.

Ponieważ Aleje zamknięte były dla powozów, kursowały tylko tramwaje, a chodnikami ciągnęły się tłumy różnobarwne, świąteczne, wesołe.. W tem nagle ukazała się policya i kozacy na koniach — i wszystko to, bez żadnej racyi, zaczęło opróżniać z przechodniów Aleje. Skoro się tylko ukazali, publiczność, podrażniona tym aktem brutalstwa całkiem niewytłomaczonego, zaczęła gwizdać. Policyanci i żandarmi, usłyszawszy gwizdanie, zaczęli gonić i łapać „rewolucyonistów“, którymi byli chłopcy kilkunastoletni. Jeden z nich wpadł w bramę, schwytał go policyant i zaczął bić. Drugi wskoczył na werandę kawiarni, policyanci za nim. Zaczęto przewracać stoły, ktoś rzucił na żandarma filiżankę z kawą i trafił dobrze, prosto w twarz. Powstało zamieszanie, hałas, zgiełk... Naprzeciw werandy ustawili się wzdłuż ulicy kozacy, jakby gotowi do napadu... Znów drugiego chłopca, może 12-letniego, przyłapano. Zdaje się, że policyant ciął go w twarz szablą, bo chłopcu popłynęła krew obficie... Oburzenie na policyantów zaczęło wzrastać.

Tłum zaczął opróżniać Aleje. Policya uwijała się jednak dalej, rozpraszając. Tu i ówdzie słychać znów było gwizdanie, potem gonitwę. Do rannego chłopca w bramie przybyła karetka z pogotowia ratunkowego. Niebawem dwie drugie takież karetki spieszyły w dalszą stronę Alei. Widocznie i tam w ten sam sposób tłumiono rozruchy. Po kilkunastu minutach Aleje świeciły pustkami. Na placu boju zostali tylko dzielni zwycięzcy-kozacy!

W kilku innych stronach miasta, przyszło także do zajść z policyą. Około godziny 8 i pół, dwie seciny kozackie, jedna za drugą, każda z rozwiniętym sztandarem, jak po zwycięskiej walce, wracały tryumfalnie do domu...

Sraszliwy pościg. Nieprawdopodobny wypadek zaszedł w polu, w pobliżu miasta Korsówka. Oto z jednej pobliskich wiosek, saniami zaprzężonemi w jednego konia, jechał włościanin z włościanką, wioząc do chrztu, do najbliższej katolickiej parafii, dziecko liczące kilka dni życia. W drodze spotrzegli jadący, goniącego ich wilka. Wówczas zacięli konia i poczęli szybko uciekać. Ku ogromnemu przerażeniu swemu jednak ujrzeli, iż za goniącym wilkiem pokazał się drugi i trzeci, a wreszcie i całe stado wilków. Rozpoczął się pościg na śmierć i życie. Kiedy wilki były już tak blisko, że ucieczka wydawała się niemożliwą, kum chcąc zyskać na czasie, zachęcał kumę, ażeby rzuciła dziecię na pastwę wilkom i zatrzymawszy rozszalałe zwierzęta w ten sposób, samym uciec.

Kobieta, pomimo kilkakrotnych nalegań zgodzić się na to nie chciała. Wilki zbliżały się coraz więcej. Wówczas przerażony chłop nagle zepchnął kobietę wraz z dziecięciem do głębokiego, zasypanego śniegiem rowu i wilki ominęły ją, nie zwróciwszy na nią najmniejszej uwagi. Chłopa zaś dogoniły i rozszarpały zupełnie, tak jego jak i konia. Kobieta nie poniósłszy żadnego obrażenia, dowlokła się do najbliższej wsi i opowiedziała miejscowym włościanom o całem zajściu.

Wystawa ludoznawcza w Cieszynie. Obecnie życie nasze zupełnie jest niepodobne do życia dziadów, a nawet ojców naszych. Dzieci nie mają już wyobrażenia, jak się płótno wyrabia, nie wiedzą, że przed kilkudziesięciu laty jeszcze w braku nafty, świecono wszędzie szczypami, które wkładano do umyślnie w tym celu wyrabianych świeczników drewnianych, że gotowano powszechnie na nalepach itp.

Już teraz życie nasze ma słabe tylko podobieństwo do życia przodków naszych, a nim jeszcze jedno pokolenie z widowni zniknie, nie wiele zostanie, coby nam przypominało dawne czasy. Nie będziemy wiedzieli, jak nasi przodkowie żyli, jak się ubierali, jakich narzędzi przy pracy używali, jakie piosnki śpiewali, jak tańczyli itp.

Chcąc ocalić i zachować resztki śladów dawnego życia przodków naszych, wydał w r. 1896 ks. Ignacy Świeży, imieniem Wydziału „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra“ odezwę do ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskiem, w której wezwał ją do składania dla mającego się założyć „Muzeum śląskiego“ starych zabytków, o ile je jeszcze wśród ludności znaleść można. Odezwa ta odniosła pożądany skutek, bo od owej chwili, wpływają ciągle różne cenne przedmioty ofiarowane do wyżej wspomnianego muzeum.

W r. 1901 założone zostało w Cieszynie „Polskie Towarzystwo ludoznawcze“, które uchwaliło urządzić w jesieni b. r. w Cieszynie wystawę ludoznawczą i powołać w tym celu osobny Komitet wystawowy.

Główne okazy wystawy tej stanowić mają zbiory muzeum śląskiego i prywatne zbiory pana Bulika w Cieszynie.

Są one jednak niewystarczające, by wystawa dała jaki taki pogląd na całość życia naszego, naszych dziadów i pradziadów i dlatego postanowił Komitet wydać odezwę i wezwać polską ludność zamieszkującą Księstwo Cieszyńskie, aby zechciała wziąć liczny udział, w wystawie zgłaszając na nią

przedmioty dające wyobrażenie o stosunkach naszych w teraźniejszości i przeszłości.

Przedewszystkiem zwracamy się do Przewielebnego duchowieństwa obu wyznań, do Szanownych pp. nauczycieli, do Szanownych przełożeństw gminnych, Towarzystw naszych i wogóle do ludzi dobrej woli, aby sprawę tę wzięli do rąk swoich i otoczyli ją opieką swoją i życzliwością.

Komitet ufa z całą pewnością, że i duchowieństwo i nauczycielstwo i wogóle całe grono ludu polskiego na Śląsku będzie sprawę popierało życzliwie i udzielać będzie ludności chętnie potrzebnych wskazówek.

Jeżeli wszyscy bez wyjątku, mieszczaństwo i lud, podadzą sobie ręce i każdy pracować będzie w swoim zakresie, wystawa może z pewnością liczyć na powodzenie.

Wystawa obejmować ma następujące przedmioty, a mianowicie: Fotografie i modele kościołów drewnianych i budynków mieszkalnych, urządzenia domowe, (misy, dzbany, świeczniki itp.), strój lub ich fotografie; przedmioty i narzędzia służące do użytku rodzinnego i wykonania rzemiosł (np. do wyrabiania płótna itp.); pieczęcie, broń, dokumenta, obrazy, hafty, rzeźby, ornamenta, narzędzia muzyczne, pieśni, bajki, podania ludowe, nuty, opisy dawnych tańców, dawne książki modlitewne i inne.

Wszystkie zgłoszenia, zapytania i przesyłki przedmiotów adresować należy do „Polskiego Towarzystwa ludoznawczego“ w Cieszynie do dnia 15 lipca 1903. Koszta przesyłki przedmiotów tam i napowrót ponosi Komitet i daje pewność, że zostaną zwrócone bez uszkodzenia właścicielom.

50 dni pod ziemią. W końcu lutego, w kopalniach rudy żelaznej Bulacela pod Charkowem w Rosyi, przepadł robotnik Jerochim. Dnia 30 kwietnia znaleźli go robotnicy w zagłębiu, usłyszawszy poprzednio jego jęki. Jerochim przebył pod ziemią 50 dni i nocy. Schudł jak szkielet, ale przytomny zupełnie, siły wzmacniają się, spodziewane jest wyzdrowienie. Lekarze sądzą, iż nieszczęśliwy spoczywał w letargu.

Święto sadzenia drzew odbyło się w Wielogłowach, powiatu nowosądeckiego wobec przybyłych z Nowego Sącza gości. Drzewka poświęcił ks. inf. Góralik z Nowego Sącza. Pierwsze drzewko posadził ks. inf. A. Góralik, a dokończyła sadzenie młodzież.

Towarzystwo ogrodnicze w Tarnowie, dało na cel sadzenia 10 szczepów.

Cygara w Austryi. W roku 1900 sprzedano w Austryi cygar swojskich 1,286,815.020, za które wpłynęło 86 milionów, 500 tysięcy, 724 koron.

Ileż to fabryk, szpitali, przytulisk, zakładów wychowawczych, szkół i kościołów możnaby za te miliony zbudować i utrzymać? Przecież cygara nie są wydatkiem koniecznym. Człowiek rozsądny nie wydaje na darmo pieniędzy. — Miliony idą z dymem, gdy tysiące ludzi z nędzy ginie. A ileż to czasu i zdrowia tracą palacze cygar? Gdzież tu rozum? gdzie serce? Nawet w barbarzyńskich wiekach średnich nie było podobnych niedorzeczności.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Rada, jaką daje M. Smerczyński dla Wojciechowej Srokowej jest całkiem praktyczną, bo tam gdzie z małego kawałka ziemi trzeba utrzymać rodzinę, to należy tę ziemię obrobić i wyzyskać, aby własna praca w nią włożona sowicie się wynagrodziła.

Ale może jeszcze donośniejszą jest sprawa uprawy ogórków. Ogórki dobrze chodowane są bardzo wdzięczne, tak, że im żaden plon nie wyrówna, trza je chronić przed przemrożeniem i na wypadek mrozu mieć inne do rozsady, a trzeba je ostrożnie sadzić.

Srokowa jeżeli chce z jednej morgi ziemi mieć dochód, tobym radził $^1/_8$ część morgi zostawić pod jarzynę, $^7/_8$ pod ziemniaki, mniej więcej 20 do 30 sążni urządzić w grzędy, pod kapustę, którą zwykle się u nas na św. Maciej sieje, ale z kapustą równocześnie zasiać pietruszkę. Kapustę zwykle się dobrze sprzeda jako rozsad, a pietruszka rośnie i pozostawia się ją przez zimę, trochę ją można przytrząść, a na wiosnę to przekupki całe grzędy zakupią, ale rozumie się trza pracować przed wschodem słońca, oglądnąć czy nie ma ślimaków, glist lub innego szkodnika, czysto plewić, jednem słowem trza pracy, ale ta praca stokrotnie się wynagradza i pracuje się dla siebie.

Szkoły przemysłowe w Galicyi. Podajemy tu spis miejscowości, w których znajdują się krajowe szkoły zawodowe, albowiem byłoby pożądanem, abyście, mili Czytelnicy wiedzieli, gdzie możnaby synów w rzemiośle wykształcić na pożytek sobie i krajowi.

A więc szkoły stolarskie są: w Stanisławowie i Kalwaryi, a szkoła wyrobu zabawek drewnianych w Jaworowie. Szkoły garncarskie: w Kołomyi i Podgórzu. Szkoły szewskie: w Witkowie, Starym Sączu i Dobczycach. Szkoły tkackie: w Krośnie, Glinianach, Gorlicach, Korczynie, Kossowie, Łańcucie, Rychwałdzie, Wilamowicach i Rakszawie. Szkoły koronkarskie: w Zakopanem, Bobowej, Muszynie, oraz szkoła haftów w Makowie.

Jak wypędzić krety z ogródka. W odpowiedzi na pytanie Szanownej M. R. donosimy: Trzeba kupić

w składzie aptecznym lub w aptece kamfory za kilkanaście groszy — i wsypać do każdej nory szczyptę kamfory. Odoru tego kret nie znosi — i opuszcza norę. Drzewko, krzewy, pod które podsypano trochę kamfory, jest zabezpieczone od tych szkodników.

Szewski kurs majsterski w Krakowie. Wydział krajowy podaje do wiadomości, że w czasie od 24 października do 22 grudnia 1903, odbędzie się w Krakowie szewski kurs majsterski, na którym będzie systematycznie udzielana nauka następujących przedmiotów: a) budowa nogi, odlewy gipsowe, rysunki fachowe, branie miary, przykrawywanie, ręczny wyrób części wierzchnich i spodnich; b) wyrób obuwia zapomocą najważniejszych maszyn ręcznych i nożnych przy zastosowaniu nowoczesnych urządzeń technicznych; c) towaroznawstwo, przemysłowa buchalterya, stylistyka i kalkulacya.

Nauka będzie udzielana w dniach powszednich od godziny 8 rano do 12 w południe, tudzież od 2 do 6 a może do 7-mej popołudniu. W ostatnich dwóch tygodniach urządzoną zostanie nauka uzupełniająca dla majstrów szewskich, mająca na celu udzielenie im najnowszych zawodowych wiadomości, a w szczególności sposobu odlewania nóg z gipsu i sporządzania obuwia na niekształtne nogi.

Nauka jest bezpłatna. Na kurs zostanie przyjętych tylko czternastu kandydatów z Krakowa oraz z innych miast zachodniej części kraju. O przyjęcie na kurs mogą się ubiegać majstrowie i czeladnicy szewscy, zalecani przez przełożeństwo właściwego Stowarzyszenia przemysłowego i przez właściwą Zwierzchność gminną, którzy ukończyli 24 a nie przekroczyli 45 roku życia, umieją czytać i pisać, uczynili zadość powinności wojskowej, lub od służby w wojsku są uwolnieni. Prawo pierwszeństwa do przyjęcia na kurs służy majstrom przed czeladnikami, pomiędzy majstrami tym, którzy posiadają uzdolnienie do samoistnego wykonywania rzemiosła szewskiego i zamierzają po odbyciu kursu założyć własną pracownię szewską, albo też, którzy są członkami zarobkowych Towarzystw produkcyjnych lub podobnych organizacyj. Przy równych warunkach służy prawo pierwszeństwa do przyjęcia na kurs kandydatom, którzy otrzymują na odbycie kursu zasiłki z funduszów gminnych lub innych funduszów miejscowych, a to według wymiaru niżej ustanowionego.

Podania o przyjęcie na kurs: 1) własnoręcznie przez kandydatów napisane, stylizowane do Wydziału krajowego; 2) zaopatrzone: a) świadectwem urodzenia i chrztu, b) świadectwami szkolnemi, c) świadectwem wyzwolin, d) kartą przemysłową, względnie świadectwem pracy i uzdolnienia do samoistnego wykonywania rzemiosła szewskiego, podpisanem przez pracodawcę i właściwe Stowarzyszenie przemysłowe i e) świadectwem moralności, tudzież 3) zalecone przez właściwą Zwierzchność gminną i Stowarzyszenie przemysłowe, należy w nieprzekraczalnym terminie do 18 października 1903 włącznie, wnieść na ręce delegata Wydziału krajowego W-go Jana Rottera, dyrektora wyższej szkoły przemysłowej w Krakowie.

Ubodzy kandydaci mogą otrzymać przez czas pobytu na kursie zasiłek po 1 kor. 60 hal. do 2 kor. dziennie za każdy dzień nauki, a zamiejscowi także zasiłek na opłacenie kosztów podróży koleją żelazną. Podania o udzielenie zasiłku zaopatrzone należycie wystawionem świadectwem ubóstwa, stylizowane do Wydziału krajowego, należy również w terminie do 10 października b. r. wnieść na ręce delegata p. Jana Rottera.

OD ADMINISTRACYI.

Zawiadamiamy Szanowne Czytelniczki i Czytelników *Przodownicy*, że numery 1, 2, 3, 4, 5 są zupełnie wyczerpane. Zaprenumerować to pisemko można — kto go mieć pragnie od 1 czerwca b. r. — a w takim razie prenumerata półroczna wynosić będzie 50 h.

Tym — którzy do pierwszego lipca b. r. prenumeraty nie uiścili — w dalszym ciągu *Przodownicy* wysyłać nie będziemy.

Wiele Czytelniczek i Czytelników życzą sobie, aby im posyłać książki do czytania. Administracya bardzo chętnie zadość uczyni życzeniom tychże, ale pod warunkiem, jeżeli 10 prenumeratorów jednej wioski lub miasteczka złożą po 10 h. na opłacenie przesyłki książek, które możemy wysyłać raz na miesiąc — po 20 do 30 dziełek — treści historycznej, powieściowej, gospodarczej, o podróżach i t. d.

W 40-tą rocznicę 1863—1903.

Księga pamiątkowa wyjdzie z druku w początku lipca b. r. Część I. Dokumenty. Część II. Wspomnienia, razem od 30 do 35 arkuszy druku. Prenumerata wynosi wraz z przesyłką 2 K. 40 gr. względnie 2 m. 10 f. lub 2 fr. 70 ct. Cena księgarska będzie znacznie wyższa. — Prenumeratę przyjmuje p. H. Czaplicki, st. inżynier Wydziału krajowego, Lwów gmach Sejmowy.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Ale Aksena dalej mówiła:

— A druga rzecz jest, że teraz już złe ludzie spokojności tobie nie dadzą. Teraz to już pewno za wiedźmę cię ogłoszą i..

— I niech ciebie już Pan Bóg od wszelkiego nieszczęścia broni.

A Michałek burknął:

— Już to i ja od wszelakiego nieszczęścia bronić cię będę... ale jakie tam z tego może być nieszczęście? Nie daj, Boże, nieszczęścia!

Kowal wstał z ławy.

— Ot! — zawołał — głupstwo! Ja też dużo świata schodził i niemało widział i słyszał, a nigdy nie widział i nie słyszał, żeby gdzie wiedźmę palili. Teraz już tego robić nie wolno. Teraz już tego nie ma. Chodź spać, Zuzulo!

Wstała powoli, a w jej oczach malował się niepokój. Policzki jej zbladły nieco. Po kilku minutach zupełna cisza napełniła izbę. Przerwało ją wkrótce głośne chrapanie kowala, a prawie jednocześnie ozwał się szelest kroków i ktoś wyraźnie wdrapał się na piec. W ciemności, na wierzchołku pieca, zaszemrał szept:

— Babulo! czy ty śpisz, babulo?

Spała, ale stary sen jej był bardzo lekkim i do przerwania łatwym. Przywykła zresztą do tego, że śród nocy budziły ją sypiające przy niej prawnuczki. Tym razem jednak obudziła ją nie mała prawnuczka, ale kobieta, która, położywszy się przy niej, gorącem ramieniem, suche jej ciało objęła.

— To ty, Pietrusia?

— Ja, cichoż tylko, babulo, żeby Michałka i dziecka nie zbudzić...

— A czego ty tu przyszła? Czy Adamek spać ci nie daje?

Przez długą minutę odpowiedzi nie było; potem jeszcze cichsze niż szept uprzedni zaszemrało pytanie:

— Babulo, czy kiedy ja urodziłam się, ojciec i matka nosili mię do kościoła do chrztu świętego?

— Nu, a jakże? — odpowiedział sepleniący szept starej — jakżeby ty bez chrztu świętego żyła? Wiadomo, że nosili.

— Babulo, a kiedy ja mała byłam, żegnała ty mnie na noc krzyżem świętym?

— Nu, a jakże? żegnała, każdego wieczora żegnała...

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do mnie nie miał?

— Dlatego, żeby nieczysty dostępu do ciebie nie miał i żeby Pan Bóg najświętszy opiekował się tobą, biedną sierotą...

— Babulo! mnie zdaje się, że ja przed Panem Bogiem niczem wielkiem nie zgrzeszyła...

Po chwilowem milczeniu starej szept odpowiedział:

— Mnie zdaje się, że ty przed Panem Bogiem taka czysta, jak ta biała lilija, co w kościele przed ołtarzem stoi..

Po tej odpowiedzi dało się słyszeć przeciągłe westchnienie ulgi. Potem młode usta zaczęły znowu cichutką rozmowę:

— Babulo! to i czemuż ja dziś na ten ogień przyszła?

Odpowiedzi długo nie było. Po długiej chwili dopiero Aksena szepnęła:

— Bo może i to nie wiedźma to mleko krowom odebrała?

— A któż, kiedy nie wiedźma?

— Może ropucha...

— Aha!

— Pewno ropucha. Ropuchy, kiedy rozgniewają się na ludzi, tak samo mleko krowom odbierają.

— A-le!

— Tak, to pewno ropucha.

— A ropucha, bo żeby nie ropucha, toby wiedźma na ogień przyszła... nie ty!...

— A-le. Śpij-że z Bogiem, babulo.

— Śpij spokojnie, zuzulo ty moja, śpij...

Nazajutrz była niedziela, a wiadomo, że w niedzielę chłopu i chłopce wszystko na świecie jaśniej i piękniej wygląda.

Tej niedzieli pogoda była piękna. Pietrusia wody ze studni przyniosła i ogień w piecu rozniecіła. Potem nad staw pobiegła i, przyniósłszy stamtąd pęk pachnącego ajeru, rozrzuciła go po podłodze izby, wprzódy już czysto wymiecionej i białym piaskiem posypanej. Kiedy kowal obudził się, stara babka na pościeli swej usiadła i dzieci gwarzyć za-

częły, w chacie od ajeru pachniało jak na łące, przez dwa otwarte okna lały się strugi słonecznych świateł, a Pietrusia w białej koszuli, spiętej u szyi błyszczącym guzikiem, w kwiecistej perkalowej spodnicy i czerwonej chustce na włosach, przed ogniem stojąc, kartofle oskrobywała.

Kowal oczy ze snu obudziwszy, spojrzeniem powiódł dokoła, na żonę popatrzał i, wyciągając nad radłem potężne swe ramiona, a szeroko jeszcze poziewając, zawołał:

— Oj, Zuzula ty moja, Zuzula!

Ona za całą odpowiedź zaśmiała się głośno. Do samego prawie południa krzątała się po chacie. Pożywieniem obdzieliła całą rodzinę, babkę i starsze dzieci myła, czesała i w czystą odzież ubierała, malutkiego Adamka piersią swą karmiła i w ramionach kołysała, męża do miasteczka na dzień cały wyprawiając, zaopatrywała go w zapas żywności i o tem, co miał tam nabywać i sprzedawać, rozważnie i po przyjacielsku z nim rozmawiała.

Słońce już zachodziło, kiedy Pietrusia zobaczyła na ścieżce jednę postać kobiecą, ku chacie jej zdążającą. Zdala poznała Frankę, wnuczkę Jakóba Szyszki. Odświętnie, ale ubogo ubrana, z nieładną lecz hożą twarzą i błyszczącemi, błękitnemi oczyma, jękliwym jakimś głosem Pietrusię pozdrowiła i, zaproszenia nie oczekując, tuż przy niej na przyźbie usiadła. Dwie kobiety znały się z sobą od lat najmłodszych i często żęły na jednym zagonie, grabiły na jednej łące, razem śpiewały i w karczmie lub na odbywającem się pod gołem niebem ihryszczu tańczyły i dokazywały. Wczoraj, gdy kowalowa pierwsza na ogień przyszła, Franka zadumała się o czemś tak głęboko, że nawet na chwilę o bliskiej obecności Klemensa zapomniała. Teraz do kowalowej przyszła i, chwilę pomilczawszy, jękliwym głosem zaczęła:

— Oj, biedna ty Pietrusia, biedna! Wielmi już ludzie na ciebie nastają. Wykrzykują, taj wymyślają...

Kowalowa żywo zwróciła się ku dziewczynie i pytaniami ją zasypała. Co mówią? Kto mówi? Czy i Piotr Dziurdzia także rozgniewany, i Piotrowa, i Łabunowie, i Bodruki? Franka wszystko, co we wsi o Pietrusi gadano, powtórzyła, a potem ramię swe zarzuciła jej na szyję. Przymilając się, oczy mrużąc, dłonią po twarzy kowalowej gładząc, zaczęła:

— Ja do ciebie, Pietrusia, z wielką prośbą... Kiedy ty taką znachorką jesteś, że możesz ludziom robić dobrze, i źle, to ty mnie poratuj w mojej wielkiej biedzie i zgryzocie...

Pietrusia cofnęła się żywo i niechętnie odwróciła twarz rozognioną od gniewu i żalu.

— Jaka ja znachorka! — krzyknęła prawie. — Idź ty sobie ode mnie... nie dokuczaj...

Ale Franka przysunęła się ku niej jeszcze bliżej i znowu ją za szyję objęła.

— Nie gniewaj się, Pietrusia, nie gniewaj się ty na mnie... ja nie ze złego serca... oj! żeby ty wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa, to już nieszczęśliwszej chyba na świecie nie ma.. Wiadomo, sierota i uboga i tak, jak w cudzej chacie zostająca. Dziadowska chata nie ojcowska... Poniewierają się nade mną dziadźki (stryjowie) i poniewierają się ich żonki... Pracuję, haruję, jak ten wół w jarzmie, a dobrego słowa od nikogo nie posłyszę... Jak pobiją się z sobą, to i mnie biją — a ciągle ten chleb, co u nich jem, wymawiają.. Już mnie i życie zbrzydło, i za zgryzotą, a płakaniem bożego świata nie dojrzę....

Wtedy Pietrusia przysunęła się do niej i zasmuconym głosem rzekła:

— Wiem, ja wiem, że tobie w dziadowskiej chacie życie nie słodkie... Dziadźki twoje złośniki i pijaki, a ich żonki paskudne... I nie bogato u was. Ale cóż ja tobie na te twoje biedy poradzić mogę?

— Oj, możesz, możesz, kab tylko chaciela — zaczęła Franka i, oba już ramiona na szyję powiernicy swej zarzuciwszy, całować ją zaczęła tak zapalczywie, że pocałunkami i łzami swemi policzki jej zwilżyła. Potem, przez parę minut cichutko jej coś do ucha szeptała.

Pietrusia uczyniła znów żywe poruszenie oporu i niechęci.

— Nie chaczu! — zawołała — nikomu już nic doradzać nie będę, żeby tam nie wiem kto był, nikomu! Dalibóg, nie będę.

Franka szyi jej z uścisku swego nie puszczała i znowu jej do ucha na wpół z płaczem, na wpół ze śmiechem coś szeptać zaczęła. Pietrusia powtarzała ciągle: — Nie chcę! nie dam! nie poradzę! pobożyłam się, że nie poradzę! — Ale widocznie żal jej robiło się Franki i ogarniać ją zaczęła ciekawość niewieścia.

— A lubiź on ciebie choć trochę? — zapytała.

Dziewczyna smutnie oczy wlepiając w powiernicę swą, odpowiedziała:

— Bóg że to jeden wiedzieć może, ale mnie zdaje się, że taki troszkę lubi. Dwa roki już od tego czasu minęło, jak pierwszy raz mnie zaczepił. Młodzieńka ja byłam wtedy i na żadnego parobka jeszcze ani patrzałam. Aż tu raz pod studnią, jak da mnie ktościś w kark, to aż w krzyżach trzasło. Patrzę, Klemens. Ja mu wody z wiadra wprost w oczy, a on mnie wpół schwycił i po plecach głaszcze. „Ty Franka — mówi — nie do tej studni przychodź po wodę, ale do tamtej, co bliżej naszej chaty“. I potem już tak ciągle. Niech tylko gdzie zobaczy, to zaraz zaczepi. Zimową porą gniłki za pazuchą przynosił i garściami mnie w fartuch sypał, a ot dwie niedziele temu, z nikim w karczmie nie tańczył tylko ze mną...

— To i dobrze — zauważyła Pietrusia — to znaczy, że lubi...

Dziewczyna, wstydliwie oczy ręką zakrywając, cicho odpowiedziała:

— Kiedyż bo innym razem, to miesiąc i dwa i trzy ani na mnie spojrzy, i tak samo inne dziewczęta zaczepia... A tu mnie w chacie taka bieda, że niech mnie Pan Bóg święty broni. Dziad łaje i dziadźki łają, dziadźkowe żynki z chaty wygnać chcą. Idzi w służbu, mówią; kto ciebie durna weźmie? mówią: Klemens nie weźmie, mówią; ot już dwa roki, mówią, jak zwodzi ciebie i oszukuje, a ty wierzysz...

Ręce załamała i znowu płakać zaczęła.

— Ja wierzę i nie wierzę... — wśród płaczu mówiła — czyby mnie Pan Bóg takie wielkie szczęście dał, żeby mnie wziął za żonkę syn gospodarski... Oj, szczęście to, takie szczęście, że większego już chyba na świecie nie ma...

Pietrusię zwierzenia te widocznie wzruszyły.

Każdej żywej istocie życzliwą ona była. Franka w obie ręce całować ją zaczęła.

— Ratuj, Pietrusia, ratuj, dopomóż... — jęczała — ja tobie przez całe życie wdzięczną będę.

— Kiedyż bo — wahającym się już głosem zaczęła kowalowa — kiedyż bo, żeby i to... baćko jemu z tobą żenić się nie pozwoli... syn gospodarki... bogaty i taki urodziwy... Słyszę, Pietruk tej zimy do Bódrakówny dla niego swaty ma słać...

— Oj, — zajęczała. Franka — kab tylko on chaciеł, kab tylko on sam chaciеł, z baćkiem już łatwy jenteres. On u baćki swego prawe oko w głowie, baćko świata za nim nie widzi...

— To jest prawda — potwierdziła Pietrusia — on u rodziców tak jak jeden, bo z durnego Jasienka mała pociecha...

— Kab tylko chaciеł! Kab na prawdę polubił... — wzdychała Franka i znowu ręce kowalowej całowała, a policzki jej pocałunkami i łzami swemi moczyła.

Pietrusia namyślała się jeszcze, bardzo nie w porę przyszła jej ta żarliwa prośba przyjaciółki. Lecz serce nie kamień.

— Nu — rzekła — dobrze.. babula mnie kiedyś rozpowiadała o takiem ziółku... Nigdy ja go jeszcze nikomu nie dawałam... ale tobie, cóż już robić? Może i dam. Jeżeli znajdę, to dam, ale nie wiem, czy znajdę Przyjdź dowiedzieć się jutro...

Franka aż na ziemię osunęła się z radości i, kolana znachorki objąwszy, całować je zaczęła.

V.

Do chaty Piotra niedługo potem zajrzało nieszczęście. Obszerną izbę w słoneczny dzień październikowy napełnili ludzie, którzy tam z radami i pocieszeniami przychodzili. Gdy tylko wieść o nieszczęściu, które go dotknęło, rozeszła się po wsi, ten i ów z gospodarzy przychodził, aby rozpytać się o szczegóły zdarzenia i ze zmartwionym sąsiadem pogadać, powzdychać, głową pokiwać. Zaś kobiety tłumnie otaczały tapczan, na którym leżał chory, gadały, doradzały. Chorym był Klemens. Urodziwego parobka sroga jakaś gorączka, niby kosa trawę, podcięła. Pod kraciastym kilimkiem leżał on nieruchomy, nakształt kłody drzewa, z twarzą ziejącą ogniem, wciąż jękliwym głosem matkę ku sobie przywołując. Piotrowa podnosiła się z ziemi, stojący obok dzbanek z wodą brała i klęcząc, brzeg jego do ust synowskich podawała. On pił chciwie, jej łzy ciekły po zżółkłej od zgryzoty twarzy. Nie krzyczała jednak, rąk nie łamała i rzadko nawet odzywała się do sąsiadek.

Paraska Szymonowa z małem dzieckiem na ręku i dwoma starszemi, które czepiały się jej spódnicy, skora do płaczu, bo zawsze prawie głodna i skłopotana, palcami rozma

zywała sobie łzy po chudych policzkach i zawodziła:

— Oj, bogate takie i szczęśliwe ludzie, a taki spadła na nich zgryzota! Oj, Klemens, Klemens, żebyś ty był lepiej na tę łąkę nie pojechał, na tym deszczu nie przemókł i nie wyspał się na tej zgniłej kopicy! Oj, z tej zgniłej kopicy choroba ta wylazła i w twoje ciało wlazła.. oj, biednaż twoja młoda główka, biedna!

Młody parobek istotnie przed kilku dniami jeździł na dość oddaloną łąkę, dla zabrania z niej wprzódy już skoszonej trawy, w drodze zmókł na ulewnym, jesiennym deszczu i noc przespał na stożku zgniłej od wilgoci trawy. Nazajutrz do domu wróciwszy, kożuch włożył, bo go dreszcze trzęsły, lecz że dnia następnego chłopcy wiejscy mieli w stawie niewodem ryby łowić, poszedł wraz z nimi, zdjął na brzegu odzienie, po ramiona prawie wlazł w wodę i przez parę godzin pomagał niewód ciągnąć. Po tej już wyprawie był na tapczanie i od dwóch dni zeń nie wstawał. Przytomnym był zupełnie, tylko czasem na różne bóle wyrzekał.

W tem, pomiędzy gwarzącemi kobietami, zabrzmiał najdonośniejszy ze wszystkich, ostry i syczący głos niewieści:

— Ale, albo to od łąki i od deszczu i od kopicy ta choroba na niego przyszła? Od czego innego ona na niego przyszła i nie Boska w tem wola jest, ale czyja inna!

Słowa te wymówiła Rozalka, zła żonka Stepana, która dnia tego już kilka razy wpadała do Piotrowej chaty i, popatrzywszy chwilę na chorego, wybiegła z niej, aby po kwadransie lub godzinie powrócić znowu.

A gdy wszystkie prawie obecne kobiety, oczy na nią zwróciły, splotła na fartuchu ciemne swe małe, ruchliwe ręce i wymówiła:

— To jest zrobione!

— Co? — zapytał chór niewieścich głosów.

— A taż choroba. Ją ktościś jemu zrobił.

— Aaaa! — zadziwiło się parę kobiecych głosów — a któż to taki zrobił?

Z nogi na nogę przestępując i oczyma błyskając, Rozalka zaczęła:

— Ja wiem kto. Ta, co jemu ziele na lubienie dawała. Musić nie takie ono było, jak trzeba, to i zamiast lubienia chorobę zrobiło.

Mężczyźni lekceważąco kręcili głowami, a Klemens na Rozalkę popatrzał i, wstydliwie brodę pod kilimek wsuwając, pomimo bólów swych, parskał śmiechem. Zaś kobiety pootwierały usta, potem ją pytaniami osypywać zaczęły. Ona jednak do Piotra się zwróciła:

— Chadzi, Pietruk — zawołała — tobie skażu. Nikomu nie skażu. Ty ojciec i pomstowanie za krzywdę syna do ciebie należy.

Piotr wstał i za kobietą, która go za rękę chwyciła, do sieni wyszedł. Tam w półzmroku z kwadrans ze sobą rozmawiali.

Po kwadransie dopiero Piotr wrócił do izby, widocznie wzruszony i rozgniewany. Zrazu jednak nic nie rzekł, tylko na ławie usiadłszy, splunął i zamruczał:

— Zhiń, przepadnij, nieczystaja siła!

Potem na syna badawczy wzrok zwrócił i zapytał:

— Klemens! pił ty niedawno miód z Franką, Jakóbową wnuczką? ha? pił, czy nie? Odpowiadajże!

Parobkowi trudno było na to pytanie odpowiedzieć. Wstydził się, brodę wraz już z ustami pod kilimek wsunął.:

— Nie dokuczajcie, baćku, wielmi w kościach boli! — zajęczał.

— Ja nie dla dokuczania pytam się, tylko dla wiadomości — odparł Piotr i proszącym prawie głosem dodał: — Po ojcowsku ja pytam się ciebie: czy pił ty w karczmie miód z Franką, Jakóbową wnuczką?

— Nu — badał dalej Piotr syna — pił, czy nie pił?

— Pił — jękliwie odpowiedział Klemens. — Taj cóż takiego, że pił?

Piotr rozpaczliwym ruchem głową rzucił.

— Nu — rzekł — to ty z tym miodem i chorobę tę wypił. Dziewka ci do niego paskudnego ziela nasypała. Na śmierć, nie na życie, na pohybel, nie na lubienie, ziele to wiedźma ludziom daje...

Kilka kobiet klasnęło w dłonie. Piotrowej oczy zmęczone, spłakane, z wyrazem obłąkania prawie na mówiącego patrzały.

— Wiedźma! — rozległ się krzyk.

— Kowalicha! — przez zaciśnięte zęby dokończył Piotr, przyczem z ławy wstał i do komory poszedł. Po chwili wrócił, niosąc Ewangielią owę, z której pomocą Pietrusia niegdyś złodzieja odgadywała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.